

Natalka Śniadanko

Porządne papiery  
arcyksięcia Wilhelma

przełożył Bohdan Zadura

Państwowy Instytut Wydawniczy  
Warszawa 2022

### ### 1907

**O** mechaniku Feliksie Pfeiferze z Bogdanówki Hałyna dowiedziała się z wiekowej gazety, którą znalazła wśród starych rzeczy w babcinej skrzyni. Z tej gazety babcia zrobiła kiedyś wykrój, na wewnętrznej stronie którego Hałyna przeczytała ogłoszenie o tym, że od Feliksa Pfeifera 22 listopada odeszła żona, która tego dnia skończyła dwadzieścia dwa lata, a sam mechanik postanowił szukać jej poprzez gazetę, a także z pomocą policji. Bronisława, żona Feliksa, była średniego wzrostu. Szatynka. Z brodawką na twarzy. Ubrana była w sukienkę kremowego koloru – a na głowie miała biały kapelusik. Hałyna wyobraziła sobie wtedy i nawet narysowała na kartce rysy twarzy tego rozgniewanego, czy może przeciwnie, wąpiącego w siebie, całkiem jeszcze młodego junaka z wąsami i bokobrodami, z lekka kędzierzawymi i starannie upomadowanymi włosami, z wąskimi ustami, z brązowymi oczami i równym rzymskim nosem. Powinien być chuderlawy, ledwie zauważalnie zgarbiony, a wyróżniać się przede wszystkim spoconymi rękami, zbyt grubymi i masywnymi w stosunku do jego postury, z tłustymi serdelkowatymi palcami zwijającymi się ku dołowi. Po uściśnięciu jego dłoni miało się ochotę wytrzeć swoją własną.

I budzi się on rano 22 listopada, w dzień dwudziestych drugich urodzin swojej żony, wyciąga ze schowka zawczasu kupiony prezent i zauważa, że żona zniknęła. Nie żeby bez śladu: na stoliku z odłamaną nóżką, który stoi po jej stronie łóżka, został gorset

i spódnica z wypaloną dziurą z przodu. Bronisława nie zdążyła na czas zdjęć żelazka ze spódnicy, bo on niepostrzeżenie zaszedł ją od tyłu, żeby ją pocałować. Jednak kiedy się zbliżył, zapachniało od niej tak apetycznie, że nie mógł się powstrzymać, wepchnął jej rękę pod spódnicę i przesunął palcami po łonie. Poczawszy na palcach wilgoć, rozpiął spodnie i wszedł do środka, siłą przechyliwszy Bronisławę do przodu.

Poczawszy w sobie suchą twardość, wypięła pupę, żeby mniej ją bolało i zrezygnowana patrzyła, jak pod żelazkiem rozrasta się czarna plama.

– Zdejmij żelazko – dysząc wyszeptał jej z tyłu mężczyzna. – Ja prawie już, jeszcze troszkę – znalazł pod bluzką jej piersi i mocno ścisnął je w dłoniach.

I wtedy Bronisława szarpnęła się do przodu, żelazko upadło na podłogę, członek się z niej wysliznął, a Feliks zachwiał się, patrząc na żonę zdziwionym wzrokiem. Wtedy ona przewróciła go na ziemię i siadła na nim. Położyła ręce mężczyzny na własne piersi i zaczęła kołysać się w tym rytmie, jaki w sobie czuła, zamiast podporządkowywać się rytmowi mężczyzny. Po kilku chwilach ogarnęło ją słodkie drzenie, zajęczała i się podniosła. Feliks ze sterczącym członkiem został, leżąc na podłodze. Bronisława zajęła się żelazkiem. Po kilku chwilach znowu poczuła w sobie z tyłu mężczyznę, lecz tym razem poruszał się już ostrożniej, głaszcząc jej brzuch. Skończyli razem – pierwszy raz po kilku latach wspólnego życia.

Feliks lubił kochać się z żoną w najbardziej nieodpowiednich chwilach. Najpierw ona jeszcze próbowała się opierać, bo jej samej nie podobały się takie nagłe, szybkie, a czasami i bolesne pieszczoty. Nie zdążyła jeszcze niczego poczuć, a mąż już kończył swoją sprawę, cmokał ją w szyję i wychodził, pogwizdując z zadowoleniem. W niej w środku kipiała złość i robiło się ohydnie od tego, że po jej udach ścieka jego nasienie. Czuła w tym jakąś nie stosowność i od czasu do czasu próbowała robić wszystko inaczej. Kiedy kładli się spać, Bronisława obnażała piersi i przyciskała

się brzuchem do męża, jednak on, zmęczony po pracy, tylko burczał niezadowolony i przewracał się na drugi bok. A potem rano, kiedy ona jeszcze spała, wdzierał się w nią niespodziewanie i po kilku krótkich ruchach było już po wszystkim. Feliks dumny był z tego, że tak często kocha się z żoną i nie mógł się doczekać, kiedy ona wreszcie zajdzie w ciążę, żeby dziecko potwierdziło jego męskość. A Bronisławie wcale się nie chciało zachodzić w ciążę, przynajmniej póki ona sama nie odczuje po tej miłości czegoś innego oprócz rozczarowania i wstrętu. I jeszcze chciała pojechać gdzieś w podróż, zobaczyć Wenecję, Paryż, Wiedeń, Egipt, Indie, Persję. Czasem z Feliksem rozmawiali o podróżach, ale rozumieli pod tym całkiem różne rzeczy. On cieszył się ze swojego prawa do ulgowego przejazdu koleją i planował podróż z żoną w niedzielę do Brzuchowic, żeby pospacerować po lesie, a ona chciała gdzieś do egzotycznych nieznanymi krajów – na długo, być może nawet na zawsze.

Rano 22 listopada mechanik Feliks Pfeifer nagle wyraźnie sobie uświadomił, że żona go zostawiła, chociaż żadnych poważnych dowodów na to na razie nie miał. Całkiem możliwe, że po prostu zatrzymała się w piekarni czy nawet zacałała w kuchni, przygotowując mu śniadanie. Jednak mimo braku dowodów Feliks był przekonany o prawdziwości swojego przypuszczenia.

Najpierw w ogóle nie może dojść do siebie, a potem usiłuje odtworzyć normalny poranny rytuał: umyć się, ubrać, zjeść śniadanie, zanim wyjdzie z domu. Jednak pozbierać się nie jest łatwo. Maszynista snuje się po domu w poszukiwaniu zwyczajnych rzeczy: świeżej koszuli, kawy, dzbanka do niej, masła, cukru, zapalek. Zdążył się już przyzwyczaić, że to wszystko szykuje dla niego Bronisława, która budzi się wcześniej, nakrywa stół do śniadania i koło miednicy z ciepłą wodą kładzie jak należy wszystko, czego potrzeba do porannej toalety. I oto okazuje się, że chleb sczerstwiał, masło pokryło się pleśnią, ser się skończył, kawa zwietrzała, a wszystkie ubrania są beznadziejnie brudne. Feliks bierze do rąk dzbanek do kawy, zagląda do środka i widzi

skamieniałe wczorajsze fusy. Złości go, że Bronisława nie umyła dzbanka wczoraj. Stawia go na stole, a ze stołu na podłogę sypią się okruchy. Feliks podchodzi do okna, przez kilka sekund obserwuje mężczyznę, który pospiesznie przebiega przez ulicę, przytrzymując kapelusz na głowie i oglądając się, czy z tyłu nie jedzie bryczka. Mężczyzna znika za rogiem. Feliks odwraca się do zastawionego brudnymi naczyniami stołu i zdecydowanym ruchem zmiata z niego wszystko, przestępuje przez pobite talerze, obciąża na sobie niewyczyszczone z brudu wczorajsze ubranie i wybiega na ulicę. Najpierw nogi niosą go zwykłą trasą, na dworzec, gdzie pracuje. Jednak nie doszedłszy do budynku stacji, nagle zawraca i biegnie w przeciwnym kierunku.

– Moje uszanowanie, panie Feliksie, dobrego dnia – woła za nim dozorca, który już drugi raz tego ranka zmiata przydworcowy plac, jednak Feliks się nie ogląda i nie zatrzymuje, żeby zapalić z nim papierosa, jak miał to w zwyczaju.

Tak samo jak mężczyzna, którego niedawno obserwował z okna, Feliks przytrzymuje kapelusz na głowie i szybkimi zdecydowanymi krokami przechodzi przez ulicę. Nie rozgląda się na boki, sunie na wprost, nie wymija przechodniów, poruszając się z zastygłym skupionym wyrazem twarzy. Przestraszone dziewczęta ustępują mu z drogi, starsze panie z przyganą zerkają, kiedy potrąca je łokciami, jednak Feliks niczego nie zauważa. Zeskakuje ze stopnia tramwaju konnego jeszcze w ruchu, przebiega przez ulicę, nie zważając na nic i o mało co nie trafia pod kopyta tramwajowych szkap, które przestraszone przyspieszają i szarpią w bok. Woźnica, a wraz z nim także konduktor jednocześnie gwizdzą. Z okna wagonu wychyla się starsza pasażerka, coś krzyczy za Feliksem. Feliks słyszy tylko fragmenty zdania „a niechby go” i „całkiem pogłupieli”, a sam biegnie dalej, skręca i już niebawem widzi przed sobą gmach Poczty Głównej.

Rozgląda się po przestronnym westybulu, pośrodku którego zastygł we wspaniałej pozie poważny strażnik w wysokiej czapce austriackiego woźnego z żółto-czarnym bączkiem z wyszytymi na

nim inicjałami panującego i z odznaką – krzyżem za wieloletnią służbę w cesarsko-królewskim wojsku na długim mundurowym surducie z dwoma rzędami wyczyszczonych na glanc guzików i wąsami na sztorc. Strażnik ogląda Feliksa od stóp do głów i przestępuje z nogi na nogę, jakby się dziwił, gdzie tak się spieszy ten rozczochrany mężczyzna. Feliks na chwilę się zatrzymuje, łapie oddech i wtedy wchodzi przez solidne drewniane drzwi po prawej i ustawia się w kolejce. Przed nim rozgląda się na wszystkie strony gimnazjalista w nowiutkim mundurze ze sklepu Zajdlecka, który mieści się w pobliżu bramy przejściowej na placu Świętego Ducha, gdzie jako sprzedawczyni pracuje mała apetyczna brunetka z dołkiem w podbródku, do której swego czasu Feliks wzdychał bez wzajemności. Gimnazjalista chciałby, żeby wszyscy zobaczyli jego wysoką czapkę z otokiem z falistej mory i wyszytym na nim złotymi nićmi emblematem gimnazjum „G IV”, żeby zauważyli jego rękawiczki glacie, które jeszcze pachną, jak wszystkie nowe rzeczy; więc rozgląda się na wszystkie strony, poprawia czapkę, w której wyraźnie jest mu za gorąco, a potem wyciąga z torby gazetę i głośno szeleści jej stronicami. Feliks zagląda mu przez ramię do gazety i machinalnie przebiega wzrokiem po stronicy ogłoszeń. „Przystojny kawaler na stanowisku pragnie za pomocą korespondencji poznać moralną, młodą, zgrabną i z ładną buzią pannę. Nie chodzi o posag. Wymiana zdjęć konieczna. Oferty na redakcję »Niedzieli« pod »Samotny«. A pod nim jeszcze jeden anons: „Poślubię ładną, młodą i gospodarną pannę. Posag niekonieczny. List i zdjęcie proszę słać do redakcji”.

Uwagę Feliksa przyciąga najdłuższe ogłoszenie. Zamieściła je kobieta, która zgubiła warkocz „wartości 12 koron”, kiedy przechodziła ulicami Akademicką, Halicką, Kilińskiego, a potem Króla Ludwika. Feliks pierwszy raz tego ranka mimowolnie się uśmiecha i wyobraża sobie nieurodziwą i roztrzepaną Salcię G., mandantkę, która wykosztowała się na warkocz, ale i tak nie zdołała się nim pochwalić przed kawalerami. A potem w rozpaczy wydała jeszcze niemałą sumę, żeby zamieścić ogłoszenie w porannej